

Rozdział V

Dyplomacja, dywersja, działa Shanties and marches

(w Mulelic)

– Dziękuję Ci, Cuplift! – rzekł admirał Perch di Mare do swojego osobistego sługi, gdy ten podał mu ciepły płaszcz. Przez chwilę wahał się, czy nie odmówić i niczym jego najśłynniejszy poprzednik, Adventurer di Melite, znany lepiej jako don Aventuro de Unicornia, powiedzieć: "Grzeje mnie miłość do ojczyzny." – uznał jednak, że nie czas na teatralność. Choć słońce jeszcze nie wzeszło, to dało się już wyraźnie odczuć chłodny wiatr ze wschodu, który poruszał wanty i chorągiewki sygnałowe okrętu flagowego equestriańskiej Floty Wschodniej – "Gwiazdy Zarannej".

Admirał był na tyle doświadczonym i wykształconym żeglarzem, że dobrze wiedział co to oznacza. Nadchodziła zima i to znacznie szybciej niż powinna. Najwyraźniej ogarnięte rewolucyjnym szaleństwem pegazy w ogóle rzuciły kontrolę i nadzór nad pogodą. Dla żeglarzy nie oznaczało to niczego dobrego – mało kto czytał dzieło Eola Storma "O sztuce nawigacji metodą czterech wiatrów" – bowiem rzadko się zdarzało, by Instytut Pogody zawieszał na dłużej swą działalność – chyba tylko podczas wojen equestriańsko-gryfich. Obecnie zaś, ba, nie dość że nikt nie kontrolował aury, to również nikt nie wiedział jaka ona będzie. Admirał dysponował bowiem jedynie dość ogólnym raportem taktycznym Królewskiej Floty Powietrznej i krótkoterminowym raportem operacyjnym jego własnego oddziału pogodowego.

Perch od zawsze przejawiał jednak upodobanie do starych, rzekomo niepraktycznych ksiąg, toteż posiadał wiedzę, dzięki której nie przerażała go obecna sytuacja klimatyczna. Toteż dopijał spokojnie filiżankę podanej mu herbaty, patrząc na rozłożone na stoliku papiery – głównie mapy i wspomniane raporty, lecz też codzienną prasę lokalną. Nie był bynajmniej pozbawiony trosk, o czym świadczyło to, że mimo tak późnej, a właściwie już wczesnej pory wciąż nie udawał się na spoczynek. Admirał wprawdzie zwykł kłaść się nieprędko po zmierzchu, ale niekoniecznie aż koło świtu. To czuwanie było związane ze sprawami natury politycznej, co zresztą w zaistniałych okolicznościach nie było niczym dziwnym, raczej powszechną przypadłością equestriańskiej elity. Zmartwienia Percha nieco różniły się jednak od trosk jego towarzyszy ze stolicy i były z nimi tylko pośrednio związane. Otóż wpatrywał się on w wielki napis na pierwszej stronie wieczornego wydania "Głosu Mulelic", krzyczący wręcz "Rewolucja przy urnach: wielkie zwycięstwo Star-Spangled Bannera".

"Póki co wszystko jak przewidywał Jego Ekscelencja, Nasz Drogi Kanclerz" – pomyślał Perch, nawiązując do otrzymanego jakiś czas temu listu. Zaledwie dzień potem i zgodnie z jego treścią "ktoś" doniósł prasie o tajnych rokowaniach Rady Republiki z Zanzebrą, czyniąc je jak najbardziej publicznymi. Proequestriańscy protestujący wyszli na ulice, doszło do przepychanek, w którymś momencie padły strzały i nagle poparcie kandydata opozycji wzrosło niemal trzykrotnie, toteż bez najmniejszego problemu wygrał on wybory na nowego prezydenta już w I turze, co nastąpiło konkretnie wczoraj. Wszystko to przy biernej obserwacji equestriańskiej Floty Wschodniej i jej admirała. Przynajmniej pozornie. W rzeczywistości baron Perch wysłał w tym czasie kilkanaście listów, rozdzielił flotę, jej część wysyłając na drugą wyspę mulego archipelagu – Muleton, a konkretnie do kontrolowanej przez Equestrię jeszcze od

czasów wyprawy barona Courage'a di Diamanti twierdzy zwanej Smutkiem Emira lub po prostu Wieżą Emira, oficjalnie pod pozorem zadań transportowych i aprowizacyjnych, oraz w cudowny niemal sposób spotkał się na pełnym morzu z pewną kluczową dla powodzenia całego planu osobą. W każdym razie, można rzec, że wszystko miał związane na ostatni guzik, musiał jednak osobiście nadzorować finalną część planu.

Tak tedy admirał Perch di Mare siedział, otulony grubym płaszczem, samowtór na kasztelu swego okrętu flagowego, dopijając herbatę z filiżanki, studzoną przez coraz bardziej nabierający siły wiatr ze wschodu, czekając na jednoznacznie się zbliżający wschód słońca. Nim jednak ten nastąpił, w wewnętrznej, rządowej części portu odcumował jeden, niezbyt wielki, statek.

“Hmm, tego się nie spodziewałem” – pomyślał, przystawiając lunetę do oka. Po chwili jednak uśmiechnął się. Było wprawdzie nadal dość ciemno, ale dostrzegł to, co istotne. – “Tak chcecie pogrywać? Dobrze, niech więc będzie!”

– Cuplift! – rzekł do służącego. – Zadzwoń proszę do naszych przyjaciół. Tylko bez zbędnego hałasu!

– Tak jest, Wasza Ekscelencjo! – odparł jednorożec, a jego róg na chwilę zajaśniał nieco bardziej. W tym samym momencie w kajutach kapitanów wszystkich okrętów (poza “Gwiazdą Zaranną” – tu w kabinie pierwszego oficera) specjalne, wyczułone na magię dzwoneczki zadzwoniły cichutko dwa razy, tak że na powierzchni nic nie dało się słyszeć.

Tymczasem muli okręt dopłynął niemalże do wyjścia z portu, po czym obrócił się dziobem do “Gwiazdy zarannej” i zwinął żagle. Na przodzie, zamiast fok, miał dość osobliwą konstrukcję, którą admirał, teraz udający brak zainteresowania, dostrzegł wcześniej przez lunetę.

“Czyżby byli aż tak głupi?” – pomyślał.

Tymczasem na kasztelu lokalnej jednostki zapanował pewien ruch, nagle dało się dostrzec błysk i coś świsnęło w powietrzu, po czym spadło do wody po stronie bakburty equestriańskiego galeonu.

– To, co widzisz, mój Drogi Cupliftcie, są tak zwane race kongrewskie, całkiem ciekawa i nowoczesna broń, ale kompletnie nieprzydatna w kopytach niedoświadczonych kucyków i... – nim jednak admirał dokończył, przerwał mu straszliwy huk, zaś przód, jak się okazało, wrogiego okrętu stanął w płomieniach. Najwyraźniej przy próbie odpalenia drugiej salwy rakiet, również, jak za pierwszym razem, pod wiatr, ogień przeniósł się na nieostrożnie ustawione pozostałe ładunki, doprowadzając do eksplozji.

– Alarm bojowy – z nienaturalnym spokojem rzekł admirał i w dosłownie kilka sekund na pokład wypadła piechota morską, kanonierzy i inni marynarze, z ambrazur idealnie synchronicznie wysunęły się wszystkie działa, a na koniec postawiono żagle, wciągnięto wielką banderę bojową z dwoma kłaczami, po czym cała linia okrętów ruszyła baksztagiem przed siebie, w stronę wyjścia z portu. Bez zbędnego słowa przepłynęli obok płonącej jednostki wroga, po czym równie milcząco wyszli z portu. Wszystko to wyglądało tak nierzeczywiście, że muli strażnicy, którzy mieli podnieść łańcuch oraz dokonać ostrzału tych jednostek, których nie udało się zająć lub zatopić przy kei, nawet nie drgnęli. Dopiero gdy okręty Pani Dnia poczęły chować się za horyzontem, zabrzmiał wielki dzwon, ale było już za późno nawet na pościg.

Tymczasem admirał Perch, rozgrzawszy się pod wpływem sytuacji, zdjął płaszcz i

jąwszy pić kolejną herbatę, pomyślał z dumą o swoich podkomendnych, którzy z największą możliwą wprawą wywiązali się z zadania.

“Hmm, czyżby nacjonalizm aż tak zaślepił oczy naszych mulich przyjaciół, że zamawiając w Manehattanie rakiety, nie wynajęli również kucyków wyszkolonych do ich obsługi?” – pomyślał, po chwili jednak zauważył: – “Może jednak po prostu zechcieli zaoszczędzić? To w końcu kupiecki naród”. – Tu uśmiechnął się pod nosem. – “W każdym razie, miała być całkiem nietypowa, przyznaję, demonstracja siły, a wyszła... cóż, też demonstracja, tyle że z naszej strony. Ciekawe, jak się czuli ci nieszczęśni marynarze, gdy nasze okręty, jeden po drugim, mijały ich z lufami dział i muszkietów idealnie wycelowanymi w ich pokład, kilka sążni od burty zaledwie. Choć pewnie nie zwracali na to zbytnej uwagi, będąc zajętymi pożarem” – spucentował, dopił herbatę, po czym rzekł do sternika:

– Kurs na Beaverton.

– Tak jest admirał! – odparł ów, zaś Perch pomyślał:

“A potem do domu!”

(w Ponyville)

– Na mocy specjalnych kompetencji przysługujących mi w czasie wojny jako dowódcy armii koronnej w tej ziemi samorządnej, to znaczy, w tym hrabstwie, uznaję byłego zastępcę burmistrza Ponyville, Doktora Time Turnera Whoovesa winnego zdrady stanu drugiej kategorii i skazuję go na karę śmierci przez powieszenie! Czy pełnomocnik hrabiego, to znaczy, hrabiny, zatwierdza wyrok?

– Zatwierdzam! – Applejack dumnie odparła na pytanie Wyrmlance’a. Powagi dodawał jej szary mundur dziadka, w którym siedziała na rynku za stołem prezydialnym.

– Rozumiem. Czy skazany chce może jednak wyznać swoje winy i prosić o łaskę i wybaczenie? – tym razem hrabia zwrócił się do Doktora.

– Myślicie, że mnie zastraszyć? Niedoczekanie! Nie zamierzam o nic Was prosić! To raczej Wy powinniście prosić lud o przebaczenie! – były przywódca rewolucji odpowiedział hardo, po czym spojrzał groźnie na zebranych, jakby oczekiwał ich reakcji, a konkretnie poparcia.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Mieszkańcy miasteczka, zgromadzeni i tak dość nielicznie, patrzyli milcząco pod nogi. Przez chwilę zapanowała cisza, po czym babcia Chelsea Porcelain splunęła i niczym na sygnał ktoś rzucił jakimś pomidorem czy innym warzywem prosto w ten dumny wzrok doktora.

– Spokój! To sąd, a nie lincz! – rzekł oficer rycerzy w zielonych kropierzach, a jego podkomendni groźnie uderzyli mieczami o swe zbroje. Nikt jednak nie postanowił się na nich rzucać, prócz... doktora Whoovesa, który, chyba dopiero teraz zorientowawszy się w sytuacji, spróbował panicznej ucieczki. Jednakże dwóch żołnierzy, którzy stali przy nim, natychmiast go chwyciło. Ten jednak, jakąś nadkuczą siłą, jakby wyzwoloną przez pierwotny lęk przed śmiercią, jął się więc tak zręcznie, że wydawało się, iż się wywinie z uścisku, toteż jeden z rycerzy nie cackał się z nim, lecz zdzielił go w kark okutym w litą stal kopytem, pozbawiając go przytomności. Zdradca osunął się na ziemię, lecz w tym momencie żołnierze, nienawykli do oprawiania nieprzytomnego więźnia, spojrzeli pytająco na hrabiego, ten jednak z przekonaniem rzekł:

– Nie jest naszym celem udreć, lecz sprawiedliwość! Miał już swoją ostatnią szansę! Wieszajcie!

Toteż chorągwianny kat przy wsparciu swego asystenta zaniósł ciało na wzniesioną specjalnie dla tego celu szubienicę, założył na szyję pętlę i opuścił zapadnię. W ostatniej chwili przed przerwaniem rdzenia Doktor otworzył oczy, które zastygły w przerażeniu.

Zebrani, podniósłszy wzrok na sam moment egzekucji, opuścili go znowu. Babcia Chelsea mruknęła pod nosem:

– Za moich wnuków! – co ktoś skwitował “amen”, po czym na placu znów zapanował cisza.

Tymczasem jednak miejsce Wyrmlance’a na mównicy zajęła Applejack, mówiąc:

– Przyjaciele! Bracia! Siostry! Panie! Panowie! Obywatele! Czy jakim tam tytułem się posługuje ktokolwiek z Was, ktokolwiek z Nas, wolnych kucyków Equestrii. W Ponyville, naszym domu, zapanował bałagan. Wszyscy wiemy, z czyjej winy, lecz gdy ktoś ma nieporządek w obejściu, to czy najpierw szuka winnych, czy robi porządek? – spytała retorycznie. – No właśnie! Tak też i my śmieci już wymietliśmy! – rzekła, spojrzawszy się na truchło Whoovesa. – Starczy jednak, przynajmniej na razie, tych rozliczeń. Trzeba skleić pęknięte ściany naszego wspólnego domostwa! A nic tak nie cementuje wspólnoty, jak wspólny wysiłek! – u przerwała na chwilę, po czym, nieco spokojniej, kontynuowała. – Nasze królestwo, nasza ojczyzna stoi obecnie w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Zagrożenia, w wywołaniu którego My, w wywołaniu którego Wy mieliście swój udział! – dodała znowu z pełną mocą. – Nie czas jednak na roztrząsanie tego co minęło, lecz na odkupienie win! Przez ostatnie dwadzieścia lat żyliśmy wszyscy w dobrobycie i pokoju, toteż zapomnieliśmy, że na pomyślność trzeba sobie zapracować, że trzeba o nią walczyć. Dziś jednak znów mamy okazję, by pokazać, że my, kucyki ziemne z Ponyville, sól ziemi, też gotowi jesteśmy do największych poświęceń na rzecz dobra wspólnego! Czas, by znów, jak przed dwudziestu laty i wielokrotnie wcześniej, na wietrze załopotał nasz błękitny sztandar z pojedynczym słońcem! – rzekła, a w tym samym czasie stojący za nią Braeburn rozwinął wspomnianą chorągiew, chorągiew I Pułku Wsparcia z Ponyville. Białe jak śnieg, a raczej prześcieradło, z niego bowiem zostało przed laty zrobione przez babcię Smith, słońce zatańczyło w blasku swego oryginalnego wzoru. Było zaiste coś podniosłego w tej chwili, toteż tłum jakby nagle zyskał gdzieś utraconą energię, gdy wszyscy jęli się wpatrywać w ten znak. Ich znak. Z oczu babci Chelsea Porcelain pociekła łza.

Niespodziewanie ktoś z tłumu wyskoczył podejrzenie wysoko, krzycząc:

– Niech żyje Ponyville! Niech żyje Equestria! Niech żyją Księżniczki!

Była to oczywiście Pinkie Pie, a jej entuzjazm, jak zawsze zresztą, natychmiast udzielił się wszystkim. Po chwili już cały plac skandował lojalistyczne hasła, a i osoby dotychczas siedzące w domach poczęły dołączać do zgromadzenia.

Trwało to jakiś czas, lecz Applejack zabrała znów głos, na co wszyscy natychmiast ucichli.

– To jednak nie wszystko! Wraz z Mości Hrabią Wyrmlancem – tu ukloniła się siedzącemu obok arystokracie – podpisaliśmy właśnie akt Konfederacji Zjednoczonych Stanów Equestrii, posłańcy zaś hrabiego dostarczają właśnie jego kopie do Hoofington, Vanhoover, Andaluzji i Pogranicza! Tym samym pokazaliśmy, że my, wolne kucyki Equestrii, wszystkie jej stany, dobrowolnie, bez niczyjego przymusu opowiadamy się za jednością naszej ojczyzny i

wiernością koronie! – Tu na placu znów wybuchł aplauz, lecz na znak klaczy, która podniósłszy kopyto, oznajmiła, że jeszcze nie skończyła, natychmiast ucichł. – Nie poprzestajemy na częstym gadaniu. Gdy wzywa nas ojczyzna, wypełniamy nasz obowiązek. Jeszcze dziś odrodzony, I Pułk Wsparcia Ponyville wyruszy wraz z chorągwiami z Trottingham do Lasu Everfree, by odeprzeć inwazję wilczych najeźdźców! Nie ma tedy co dłużej głądzić, lecz czas się szykować do wymarszu! Niech żyje prawdziwie wolna, wierna i jedna Equestria! – krzyknęła, po czym zaintonowała prostą, acz nad wyraz chwytliwą piosenkę:

Hurrah, hurrah!
For united Equestria!
Hurrah for the Bonnie Blue Flag that bears the single sun!

Tymczasem Wyrmlance wszystkiemu przypatrywał się z boku ze z trudem ukrywanym podziwem. Zaiste inaczej wyobrażał sobie najbardziej rustykalną z prowincji Equestrii...

(w Canterlocie)

– Cóż, myślę, Drodzy Waszmościowie, że już czas najwyższy rozwiązać trapiące nas problemy – w taki oto sposób kanclerz otworzył spotkanie nieformalnej rady regencyjnej, składającej się z niego, podkanclerzego Night Lighta i hetmana Shining Armora.

– Jak najbardziej się z Wami zgadzam, ale czemu dopiero teraz? – jedyny wśród obecnych posiadacz tytułu książęcego spytał, nie ukrywając wyrzutu. Mimo iż na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie bycia w zwykłej, świetnej formie, to przekrwione oczy zdradzały, jak męczące musiało być dla niego ciągłe dbanie o barierę magiczną.

– Cóż, sytuacja była dość niejasna – Fancypants odparł bez zająknięcia. – Toteż ja, a wraz ze mną i korona, nie mogliśmy sobie pozwolić na zbytne odkrycie się, zanim pewne kluczowe rzeczy nie potoczą się zgodnie z planem i dopóki nie uzyskaliśmy, wprawdzie niepewnej, acz chyba zawsze taka będzie, niemniej pewnej gwarancji co do braku niesprzyjającego nam działania czynników zewnętrznych.

– Rozumiem, że te wydarzenia właśnie osiągnęły postulowany stan – spytał Night Light, trudno powiedzieć na ile ironicznie, a na ile szczerze. Fancypants odparł jednak niewzruszenie:

– Otóż to – po czym sięgnął po jakiś dokument i zaczął czytać.

Raport operacyjny ogólny nr 118/88

Do Jego Ekscelencji Kanclerza Fancypantsa markiza di Coroni

Wydarzenia aa, ac, da, db, dc i dd miały miejsce.

Punkty A", C, C', D i F zrealizowane.

Szczegółowe raporty 118A i 118C w przygotowaniu.

Pułkownik Nightshade di Nocturno

– Cóż to w ogóle znaczy? – książę spytał kompletnie zdezorientowany.

– Nie otrzymaliście swojej kopii? – kanclerz spytał hetmana.

– Nie – ów odparł.

– Że wybory w Mulelic wygrał Star-Spangled Banner, zerwał negocjacje z Zanzebrą,

jednocześnie deklarując współpracę z Unią Na Rzecz Równości, tego i owego i z tej okazji próbując, nieudolnie, zatopić naszą wschodnią flotę wojenną. Jednocześnie "spontaniczni protestujący" na Muleton ruszyli w stronę Wieży Emira w "pokojuwym proteście", licząc, że stanie się on jak najbardziej niepokojowy, jednak Wasi chłopcy, odgradzeni raczej nieprzekraczalnym bez dobrego podkopu lub kilkudniowego ostrzału artyleryjskiego murem, bezczelnie ich zignorowali, toteż niepokieszeni wrócili do domu, gdzie okazało się, że inni "spontaniczni protestujący" przejęli władzę nad miastem. Ba, ustanowili nawet lokalne, nieumundurowane siły samoobrony, których większość członków całkiem przypadkiem jest biała w czarne paski, co zresztą jest jak najbardziej zrozumiałe, zważywszy na niejednorodny etnicznie skład mieszkańców południowej wyspy. W każdym razie siły te sprawnie poradziły sobie z niewymienioną jeszcze przez nowy rząd starą administracją i siłami porządkowymi, nową zaś przywitały ogniem armatnim z przejętej baterii portowej. Gdy wydawało się, że mogą już spokojnie pisać do miłującego pokój Cesarstwa Zanzebry z prośbą o interwencję, to znaczy, oczywiście, bratnią pomoc w obronie tegoż pokoju i zadzierzganiam wzajemnych stosunków aż do zniesienia granic, nie tylko celnych, niespodziewanie część wyraźnie niepasiastych mieszkańców wyspy wystąpiła przeciwko nim pod sztandarem, co ciekawe, sprzed ostatniej rewolucji. A że byli wspierani oni przez osobników wyglądających na kucyki equestriańskie i to takie akurat powszechnie słynące z utrzymywania się ze sprzedaży usług wojennych wysokiej jakości? Cóż, trudno im się dziwić, że skoro ich stać, to woleli wybrać sprawdzony produkt wysokiej klasy, czyż nie? Korona wszakże nie odpowiada za stosunki cywilnoprawne łączące osoby prywatne – powiedział kanclerz, monolog ten sprawił mu zaś wyraźną przyjemność.

– Czy to znaczy że Republika Mułów dokonała wobec nas agresji? – spytał Shining Armor, jeszcze bardziej zdenerwowany.

– Ależ skąd! Nie sposób tak nazwać ostrzału zakotwiczonych statków, który nie kończy się nawet zadrapaniem któregoś z nich, czyż nie? – Fancypants odparł przewrotnie.

– Rozumiem jednak, że macie wszystko pod kontrolą? – tym razem to Night Light zgłosił pytanie.

– Cóż, ja póki co nigdzie się nie wybieram, ale ponoć wśród sił wiernych staremu rządowi widziano niejakiego kawalera Vipera di Visconti – odparł kanclerz, zaś księżę hetman dopiero teraz, usłyszawszy znajome nazwisko, zrozumiał, o co chodzi.

– Rozumiem, że w takim razie nie muszę tam angażować żadnych dodatkowych sił? – spytał, wpięty uśmiechnąwszy się szeroko. Kawaler Viper był bowiem chyba najśłynniejszym obecnie żyjącym equestriańskim kondotierem, do którego Shining miał zresztą wielki sentyment i szacunek. Pod nim to bowiem zdobywał swoje pierwsze wojskowe, a potem również i oficerskie szlify, gdy w wieku siedemnastu lat uciekły z domu, dołączył do jego oddziału, który walczył jako oddział najemny po stronie rządowej w mulej wojnie domowej, mając przeciwko sobie, prócz lokalnych rewolucjonistów, również poważne jednostki, takie jak pułk kondotierów wolności niesławnego Sellsworda Whitinga. Od czasu tamtego konfliktu Viper zamieszkał zresztą na Muleton, dorobiwszy się sporego grona wpływowych przyjaciół, jak również i wrogów.

– W żadnym wypadku. Jak mówiłem, Korona Equestrii nie ingeruje wszak w lokalne sprawy sojuszniczego kraju!

– O jakich problemach w takim razie mieliśmy rozmawiać, skoro ten, jak widzę, jest już właściwie rozwiązany? – Night Light spytał rzeczowo, chcąc wrócić do początku i sedna

spotkania.

– Ależ już mówię! Otóż pozwoliłem sobie sporządzić listę tych problemów, to znaczy takich, które powinniśmy rozwiązać w pierwszej kolejności. Pozwolę ją sobie odczytać. – Tu sięgnął mocą swego rogu po zwinięty rulon i istotnie ją czytał:

~~1. Rewolucja Ponyvillska~~

– A to szczęśliwie już zażegnane! – powiedział, po czym przerwał na chwilę, jakby nad czymś dumając, ale nic więcej nie rzekł i wrócił do listy.

2. *Oblężenie Baltimore*

3. *Inwazja Południowej Federacji na las Everfree*

4. *Kwestia mula*

– A o tym chyba już sobie dość powiedzieliśmy – rzekł, po czym skreślił również i ten punkt. – Zostają nam tedy punkty dwa i trzy. Zdaje się, że należą one do Waszych kompetencji, Mości Książę? – zwrócił się do Shininga.

– Cóż? – spytał zdezorientowany hetman, podnosząc swój przekrwiony wzrok na kanclerza, po czym jednak dodał żywo. – A, owszem! Zaczynając może od punktu trzeciego: wreszcie udało nam się rozlokować wojska prowincji zachodnich zgodnie z planem. Chorągwie z Vanhoover i Hoofington stacjonujące w Trottingham zabezpieczają nas na północy, na granicy z Cloudsdale, wojska z Andalusy zajęły zaś pogranicze. Natomiast dotychczas pacyfikująca Ponyville chorągiew z Trottingham weszła już od północy w las Everfree bezpośrednio ku spotkaniu z wrogiem. By nie dopuścić jednak do ich klęski w tak wszakże niesprzyjającym terenie, wkrótce dołączą do nich od zachodu chorągwie z Equina. Co zaś do wschodu... Cóż, zgodnie z tym, o czym mówiliśmy, nie sądzę, by wysłanie tam chorągwi z Fillydelfii miało sens. Raz, że ma ona obecnie kiepskie morale, a dwa, że jest to obecnie nasz jedyny klin wbity między Manehattan a Cloudsdale. Obawiam się że nie uda nam się niestety otoczyć wilków z trzech stron, tak jak pierwotnie zakładałem.

– A ja myślę, że nie powinniście tracić tej nadziei! – wtrącił kanclerz. – Otóż rozmawiałem z Jego Ekscelencją ambasadorem Jagd Hundem, który w imieniu księcia Canisburga zaoferował nam wsparcie w sile dwóch rot pikinerów przeciwko najeźdźcom, cytując – “W imjæe dobrei wspoelpratzy mjentzy sojuschnietschiemi kreiami.”

– I cóż odpowiedzieliście? – podejrzliwie spytał Night Light.

– Cóż... zgodziłem się.

Baron spojrzął na kanclerza trudnym do oceny wzrokiem, który prawdopodobnie wyrażał jednak zdziwienie, niedowierzanie, a może zarzut?

– Ależ Mości Baronie – odparł natychmiast. – Oczywiście, że zdawałem sobie sprawę, że do tego typu aktów dobrej woli należy podchodzić z dużą ostrożnością. Ostatecznie jednak w jaki sposób mogą nam oni zaszkodzić, walcząc przeciwko naszym wrogom na niezamieszkanym, no, przynajmniej przez cywilizowane istoty, terenie? Psi pikinierzy to zaś świetni żołnierze, przydatni zwłaszcza w takich warunkach, zdecydowanie niesprzyjających dla naszej jazdy. Poza tym, w naszej obecnej sytuacji każdy żołnierz equestriański jest na wagę złota, toteż im więcej problemów uda nam się rozwiązać kopytami, to znaczy, pardon, w tym wypadku łapami innych, tym lepiej. Ostatecznie zresztą dwie rotę to dużo, ale nie tyle, by nie dało się ich w razie czego spacyfikować, z czego zresztą pewnie książę Schäferhund sobie

najlepiej zdaje sprawę.

Na sali zapanowała krótka cisza, która przerwał wreszcie Shining Armor:

– Poślę tedy swych przedstawicieli do tych rot. Cóż, istotnie, przynajmniej wilcy nie będą mieli jak się wyrwać z potrzasku – rzekł, po czym uśmiechnął się, uświadomiwszy sobie, że w tym wypadku użyta przezeń przenośnia była nader trafna.

– W takim razie został nam tylko ostatni punkt – rzekł Night Light głosem, który znów mógł być równie dobrze zadowoleniem, jego brakiem, co zwykłą obojętnością.

– Pozwólcie tedy Ojczy, że przedstawię plan – rzekł Shining Armor, a mówiąc, jakby nagle odzyskał swoją zwyczajną energiczność. – Obóz Whitinga znajduje się na północ od miasta, niemal nad samym klifem. Ich działa mają dwa do trzech razy większą donośność od naszych, a są przy okazji znacznie celniejsze i bardziej szybkostrzelne. Tak ufortyfikowane szanse wydają się być niemal niezdobyte, czy to od północnego zachodu – od strony Fillydelfii – czy z południa, od samego obleganego Baltimore. Niemal.

– Cóż w takim razie proponujecie? Atak z dwóch stron? – spytał Fancypants.

– Nie, aczkolwiek... poniekąd tak – odparł Shining, uśmiechając się.

– Wybaczcie, ale nie rozumiem... – rzekł Fancypants, istotnie zdezorientowany.

– Taki właśnie jest nasz cel! – dodał książę, po czym, nie chcąc już dłużej męczyć kanclerza, wyjaśnił: – Chcemy po prostu zdezorientować naszego przeciwnika! Dlatego też w tym celu poczynimy takie przygotowania, by wróg myślał, że istotnie zaatakujemy go z dwóch stron – złota chorągiew z Fillydelfii, zaś gwardia po przerzuceniu kolejną od Baltimore. W rzeczywistości zaś uderzymy tu – wskazał jedyny nieodkryty punkt w kręgu zakreślającym zasięg manehattańskich dział.

– Hmm, śmiały plan... – rzekł Fancypants. Istotnie, było to przedsięwzięcie wymagające nie lada umiejętności manewrowych w bardzo niesprzyjającym terenie. Z drugiej strony Shining Armor zyskał sobie sławę właśnie jako maestro wojny manewrów i specjalista od długich i forsownych marszów, zwłaszcza w czasie niedawnej wojny w Arabii Siodlanej. – O ile się uda... – Mimo wszystko kanclerz nie był jednak przekonany co do jego powodzenia.

– Może dodam, Mości Markizie, że plan ów zasugerował mi i współpracował Wasz siostrzeniec, pułkownik Longtrench – odparł hetman, uśmiechając się.

“Mały Longtrench został już pułkownikiem!?” – taka była pierwsza myśl Fancypantsa, usłyszawszy słowa księcia. Choć w sumie nie powinno go to dziwić, od czasu początku rewolucji pokazał niewątpliwie swoje umiejętności. Druga zaś myśl, jaka przyszła do głowy wicehrabiemu, była taka, że istotnie, udział jego siostrzeńca w planowaniu znacznie zwiększył jego wiarę weń. Za trzecim namysłem doszedł jednak do wniosku, że okazanie tego po sobie mogłoby być obraźliwe wobec hetmana, gdyż oznaczałoby, że bardziej odeń ceni jego podwładnych i to dziwnym trafem takich, z którymi łączą go więzy krwi, toteż na głos rzekł:

– Cóż, wierzę, że Wasz sztab dokładnie to opracował.

– Ależ naturalnie – pro forma dodał Shining. – Zresztą ja sam osobiście poprowadzę nasze wojska. W końcu znamy się nieco z Whitingiem – nawiązał tu znów do ich udziału w mulej wojnie domowej po przeciwnych stronach.

– Któż będzie tedy bronił stolicy? – spytał kanclerz.

– Dowództwo nad garnizonem obejmie admirał Nightfire, który zostanie tu ze swoimi obiema chorągwiami. Nie będą nam one potrzebne, zaś stolica jest lepszą bazą do

monitorowania sił Cloudsdale, które są dla niej głównym zagrożeniem. Weźmiemy ze sobą tylko jedną kompanię dla celów zwiadowczych.

– Co jednak tedy z magiczną kopułą?

– Ojciec, zechcecie? – hetman zwrócił się do podkanclerzego, a ów mocą swego rogu wyjął z zanadru dość spory i ciężki klucz.

– Cóż to? – po raz kolejny spytał Fancypants.

– Pod niemal całym Canterlotem znajdują się złoża magicznie czułych kryształów. Większość z nich została już dawno wykopana, ale nie wszystkie. Najtwardsze jądro, główna żyła pozostała nietknięta – tutaj przerwał na chwilę i, pozornie, zmienił temat. – Jak dawno byliście w krypcie króla Aurusa, Mości Kanclerzu?

– Dawno! – odparł Fancypants.

– Być może jednak pamiętacie, że towarzyszyło Wam tam zapewne dość dziwne uczucie. W Waszym rogu?

– Być może... – rzekł kanclerz, acz istotnie jął sobie przypominać, że w tym najgłębszym punkcie królewskiej biblioteki towarzyszyło mu pewne nieprzyjemne i niezrozumiałe uczucie. Bardzo nieprzyjemne.

– To jest klucz do źródła tych problemów. Pod kryptą jest bowiem jeszcze jedna komnata, a właściwie drobne pomieszczenie. W nim zaś znajduje się korona tejże żyły kryształów, punkt, można by rzec, łączności z nią. Innymi słowy – największy kondensator magiczny na świecie. Na tyle pojemny, że zdoła pomieścić w sobie zaklęcie rzucone przez mojego syna i utrzymać przez tyle dni, ile wystarczy mu na rozprawienie się z Whitingiem.

Kanclerz przez chwilę milczał, jakby nie chcąc dać po sobie poznać, jakie wrażenie nań wywarła ta wiadomość. W końcu rzekł:

– Skąd... to wiecie?

– Jestem tylko ubogim sługą korony – odparł Night Light w tak beznamiętny sposób, że Fancypants, sam siebie nie bardzo rozumiejąc, nie śmiał pytać o nic więcej.

– Cóż, w każdym razie wojska powinny do jutra być już gotowe! – Shining Armor zakończył temat. Na jego twarzy malował się widoczny entuzjazm, jakby już sama myśl o wyjściu w pole uleczyła go z chronicznego zmęczenia.

– Cóż... W takim razie nie mamy chyba już nad czym więcej tu radzić – rzekł Fancypants.

– O czymś chyba jednak zapomnieliście. A konkretnie to o kimś – powiedział Night Light.

– O Marchii Wschodniej i wojewodzie Antonie di Malo? Niestety nie mamy jak mu pomóc – odparł kanclerz, lecz jego zastępca rzekł:

– Nie w tym rzecz. Raczej chodzi o coś znacznie istotniejszego. Otóż, drodzy Panowie, musimy odpowiedzieć sobie, jak również, co może ważniejsze, społeczeństwu, na jedno kluczowe pytanie. Mianowicie: kto obecnie rządzi i panuje w Equestrii?

Kolejne pytanie w trakcie tej rozmowy zaskoczyło kanclerza i to chyba nawet bardziej niż którekolwiek z pozostałych. Odpowiedział jednak:

– Cóż, tak się nieszczęśliwie składa, że jesteście to my, jako rada regencyjna.

– I nic nie mamy zamiaru z tym zrobić? – spytał Night Light.

– A cóż możemy? Jej Świetlista Wysokość sama jedna... mówię oczywiście o Naszej Pani Księżniczce Celestii – kanclerz w porę się zmytygował, przypominając sobie, że najwyższy

tytuł przysługuje obu siostram – sama jedna wie gdzie jest. Żaden z naszych posłańców wysłanych do Jej Wysokości Księżniczki Cadance, która powinna była objąć tron w zaistniałej sytuacji, nie wrócił do nas. – Ta wzmianka wywołała oznakę bólu na twarzy księcia hetmana, który jednak szybko go stłumił. – Zaś Jej Świetlista Wysokość Księżniczka Luna znajduje się sami wiecie gdzie... – skończył smutno.

– Chyba jednak nie zostawimy Jej tam na zawsze?

– Oczywiście, że nie! Cóż jednak możemy zrobić? Cloudsdale jest pełne fanatycznie oddanych sprawie żołnierzy, wszyscy agenci Nightshade'a przeszli na stronę buntowników albo zostali zlikwidowani. Zresztą po... błędzie, jakiego się dopuściliśmy wobec braci nocy – tu kanclerz skrzywił się nieznacznie – raczej nie mamy co liczyć na to, że jakkolwiek pegaz poczuje nagle odnowioną więź z koroną i lojalność wobec niej. Mógłbym posłać tam nawet Wonderbolts, ale to tak, jakbym rzucił ich na pożarcie. Za późno, by wniknęli w szeregi zdrajców, za wcześniej, by starli się z nimi zbrojnie. Jeśli macie jakiś lepszy pomysł...

– Owszem, mam! – Night Light odparł niespodziewanie, po czym opowiedział ów pomysł.

Fancypants zyskał właśnie pewność, że wyczerpał limit zdziwień na najbliższy miesiąc, bowiem ów plan wydawał się być stokroć bardziej nie do pomyślenia niż wszystko, o czym była mowa do tej pory razem wzięte. Nim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, uprzedził go Shining Armor, mówiąc z nieukrywaną złością:

– Ojczy! Jak możecie choćby sugerować, że powinniśmy z tą... z tą... – Widać było, że emocje kotłują się w nim, nim jednak je wyartykułował, Night Light podszedł doń i spojrzawszy mu w oczy, rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Synu! Czy kiedykolwiek proponowałem Ci cokolwiek niedorzecznego!? Tak, wiem, jak zachowała się ona wobec Ciebie, a zwłaszcza wobec Jej Wysokości mojej dobrej córki. Uważam jednak, że dla dobra królestwa owszem, powinniśmy się zwrócić do niej z pomocą. Czy wymagam od Ciebie zbyt wiele, byś zgodził się na to?

– Nie, ojczy – odparł Shining Armor, nagle się uspokoiwszy, spuszczać wzrok.

– Pomijając wszystko inne – będąc wciąż pod wrażeniem zarówno samej propozycji, jak i sceny, jaka przed chwilą miała miejsce, Fancypants starał się wciąż zachować jasny umysł – czy mamy w ogóle realną możliwość przedstawienia tej propozycji?

– Tak, mamy – Night Light odpowiedział pewnie.

Fancypants znowu przez chwilę milczał, po czym rzekł ni to do siebie, ni to do innych:

– Jeśli inkwizycja się o tym dowie...

– O co jak o co, ale o to, zapewniam, nie musicie się martwić – baron stwierdził równie pewnie.

– Udzielam tedy zgody... – kanclerz niemal wydusił z siebie ciężkim głosem.

– Cieszę się tedy niezmiernie. Wszystko dla dobra korony! – odpowiedział podkanclerzy, przy okazji skłoniwszy się nieznacznie.

Fancypants jął się zaś zastanawiać, jak wielu rzeczy nie wie o swoim zastępcy, przyjacielu i nauczycielu.

(w lesie Everfree)

Kroczył dumnie po swojej polanie. Tamci tchórze mogli byli uciec i dobrze, las z nimi, ale

on był u siebie. Był przecież królem tych ziem, ba, uznawanym przez ościennych monarchów. To raczej inni, zwłaszcza obcy powinni byli uciec na jego widok. Nie było wszakże majestatyczniejszego odeń stworzenia! Toteż nawet się cieszył na ich nadejście. Na to, jak przetrąci karki tym intruzom. Będzie mu wtedy do śmiechu, a niedowiarkom do wstydu. Niedowiarkom i, ba, zdrajcom, którzy porzucili go samego. Zresztą nie dbał o to. Nikt mu nie był potrzebny, umiał obronić swój dom. Może nawet wybaczy im, jak tylko rozprawi się z tamtymi? Myśl ta wywołała na jego twarzy nieznaczny uśmiech. Kroczył tedy dumnie wokół świętego dębu, najważniejszego miejsca w całej puszczy. Nagle, tak, wreszcie poczuł ich zapach. Jego kły zapragnęły poczuć ich krew. Był tedy gotowy, gdy z lasu wychynął pierwszy z nich. Owinięty w jakąś szmatę, przy pasie miał prymitywny toporek. "Tchórz" – pomyślał. Prawdziwi drapieżcy nie używają zabawek.

Gość najwyraźniej nie uważał siebie za strachliwego, gdyż rzekł bez cienia lęku:

– Tych jesst njetschjedschjem, ktoerego swjom Guttwein?

On wstał jednak dumnie na tylne nogi, rozłożył ręce i ryknąwszy groźnie, odparł z wielką mocą i gniewem:

– Gam jest Goodwine, kryl tegho lasu! Cego ty scykasc, intryzge? Natikhmgast padnig psced wlladco teg kragini, jestli nge khcesc sge narazic na myj ghngef, a potem cem prendtheg zmikag do sfeg kraginy, pykim dobry!

Ów jednak nic sobie nie zrobił z tego polecenia, tylko odparł:

– Bardso mi pschiekro, ale pschejmuje w pochadanje te sjemjae. Oddasch koronae ssam, tschue mamy chi jom sdjontsch?

W odpowiedzi na to rozmówca tylko ryknął raz jeszcze i rzucił się przed siebie, niespodziewanie długimi jak na tak ciężkie cielsko susami zmierzając w stronę swego adwersarza. Ów jednak tylko warknął krótko, zawył, a z boków, od zawietrznej, wypadł z tuzin jego pobratymców, dodatkowo uzbrojonych w sieci i liny, którzy rzucili się na szarżującego niedźwiedzia w koronie. Ten w pierwszym momencie, kompletnie zdeorientowany, stanął w miejscu, co okazało się być jego zgubą. Gdy chciał ruszyć ponownie, przykryty sieciami nie był już w stanie zrobić ni kroku. Tymczasem z lasu ciągle wychodziły coraz to nowe wilki i ciągnąc za liny lub okładając go obuchami toporków, maczugami i inną prymitywną bronią, jaką miały, próbowały go przyszpilić do ziemi. Bronił się ile mógł, ale w końcu opadł bez czucia na murawę. Wówczas spomiędzy drzew wyłonił się jeszcze jeden oprawca, większy jednak od pozostałych i ubrany w mniej żałosną, barwioną nawet na czerwono szatę. Na głowie miał stalową koronę. Wyprostowawszy się i stanąwszy na samych nogach, podszedł do w międzyczasie związanego niedźwiedzia, trzymanym w dłoni tasakiem nieznacznie nadciął sieci nad czubkiem głowy ofiary, ściągnął jej złotą koronę i włożywszy na swoją, tak że znalazła się idealnie w jej środku, rzekł:

– Teras lass Immerfrei naletschy do mnje!

Zaś właśnie obalony król Federacji Wolnych Istot Lasu Evefree Goodwine II nie mógł nawet nawet ryknąć, tak ciasno miał związaną twarz.

Temu wszystkiemu z korony pobliskiego drzewa przypatrywała się jednak jeszcze jedna osoba. Przypatrywała, z trudem powstrzymując łzy i choć wciąż w myślach powtarzała sobie: "Miałam rację", to wcale nie była z tego powodu zadowolona.

– Dlaczego nie posłuchałeś Harolda? Dlaczego nie posłuchałeś mnie? – wyszeptała tylko cichutko, po czym, uroniwszy jedną łzę, odleciała na północ, by podzielić się tymi

smutnymi wieściami z tymi, którzy tam skryli się przed wilcza nawałą.

Tymczasem na północnym skraju puszczy kolumna wojska posuwała się bardzo powoli naprzód. Środek stanowiło około ośmiuset ciężkozbrojnych rycerzy w zielonych kropierzach z obnażonymi mieczami, które trzymali mocą swych rogów przed sobą. Nie mieli kopii ani przypiętych do boków, ani w taborach, których zresztą mieli obecnie minimalną ilość. Flanki zabezpieczało dwa razy po dwieście arkebuzerów noszących szare mundury, z tym że tak właściwie nie były to mundury, lecz raczej różne w kroju, materiale i rozmiarze stroje robocze, zuniformizowane tylko w minimalnym stopniu, głównie pod względem właśnie koloru. Tyły zabezpieczali pocztowi rycerzy. Na przedzie zaś powiewały sztandary obu formacji – zielony z łbem smoka i niebieski z białym słońcem, a obok nich szli dowódcy obu oddziałów. Jeden z nich, Wyrmlance, hrabia Trottingham, przeklinał pod nosem obecną sytuację, nie ze względu na niewygodę, to znaczy, że względu na nie, ale nie pod kątem osobistym, tylko taktycznym. Główny atut jego rycerzy: siła przełamującej szarży na kopie, nie mógł być w choć najmniejszym stopniu wykorzystany w tak niesprzyjającym terenie. Toteż strzegł zachowania formacji jak zapewne strzegłby cnoty własnej siostry, gdyby nie to, że zdążyła wyjść za męża, i to, o zgrozo, potajemnie, zanim się dowiedział, że słowo cnota ma też inne znaczenie niż stała etyczna dyspozycja kuca do czynienia dobra. Rzekł tylko na głos do kroczącej obok niego Applejack:

– Nigdy nie widziałem tak gęstego lasu. Znam dobrze bory wokół mojego Trottingham, ale w porównaniu z tym to parki! – dla wyładowania emocji pozwolił sobie na luźniejszą uwagę, po czym jednak dodał rzeczowo. – Jeśli tak będzie dalej, to na nic nasza tu wyprawa. Wróg zapewne ma większe doświadczenie w walce w takim terenie i jak tylko się rozproszymy, wciągnie nas w zasadzkę. Jeśli jednak będziemy szli dalej w takim zwarcu i z taką prędkością, to nas po prostu ominie i wyjdzie w Ponyville, na pograniczu, pod Canterlotem albo gdziekolwiek!

Applejack nie podzielała jednak jego defetyzmu:

– Mości Hrabio, nie słuchaliście mnie? Wróg może i zna się na walce w lesie, ale tu jest równie obcy jak i Wy. To mój las. Mówiłam przecież, że znam go od dziecka, niemal jak własną kieszeń. Proponuję tedy raz jeszcze, pozwólcie mi wziąć tylko jedną kompanię, a w kilka kwadransów wytropię Wam wilki i to tak, że nawet się nie spostrzegą!

Hrabia jednak pozostał niewzruszony.

– Mościa Applejack, Wasi, to znaczy, pardon, Pani – wprawdzie pomarańczowej klaczy udało się przekonać hrabiego, by nie mówił do niej jak do arystokratki, którą nie była, ale doprowadziło to tylko do tego, że zaczął się do niej zwracać jak do mieszczki – podkomendni są niedoświadczeni. Skoro już tak nalegaliś... nalegała Pani, by wzięli udział w tej wyprawie, niechże choć Pani nie wytraca ich zaraz na samym początku!

– Myślę, że popełniacie błąd, Mości Hrabio. Wybrałabym tylko takich żołnierzy, którzy znają te okolice niemal tak jak ja – Applejack odparła dumnie, lecz rozmowa nie osiągnęła konkluzji, toteż przez jakiś czas wszyscy szli w milczeniu.

Zaczęło się jednak robić ciemno, toteż hrabia, nie chcąc się dać zaskoczyć nocy, wyjął spod zbroi swój kieszonkowy zegarek i w świetle aury swego własnego rogu odczytał godzinę.

– Pięć po piątej?! Ciemno, jakby była już co najmniej siódma! – rzekł, zdziwiony tym, co zobaczył. – Czyżbym go zapomniał nakręcić? – Po przyłożeniu do ucha usłyszał jednak

charakterystyczne cykanie, acz nie był pewien, czy to aby wyobraźnia nie wyławia pasujących dźwięków z ogólnego szumu maszerującego wojska, hełm, który miał na głowie nie ułatwiał zaś rozstrzygnięcia tych wątpliwości. Uczyniła zań to jednak jego towarzyszka.

– To naturalne, wszak gałęzie blokują światło! I Wasz zegarek rzeczywiście źle chodzi. Spóźnia się o... – spojrzała na chwilę w niebo, a właściwie strop z, wydawałoby się, nieprzeniknionych koron drzew i dokończyła – pięć minut. O siódmej zaś będzie już ciemno jak o północy, przynajmniej dla Was i Waszych rycerzy, bez urazy, Mości Hrabio!

Wyrmlance był niewątpliwie pod wrażeniem umiejętności klaczy i choć nieco w nie wątpił, zwłaszcza w tak dokładne określenie godziny, to rzekł jednak:

– Cóż tedy proponujecie?

– Mamy najwyżej godzinę, nim przestaniemy widzieć choć w miarę znośnie. Niedaleko znajduje się jednak półodkryta polanka, do której powinniśmy zdążyć dotrzeć, nawet tym tempem. Da się na niej rozpaść ogień. Przenocujmy tam. Wprawdzie będziemy widoczni, ale raz, że wątpię, by wilcy dotarli aż tak daleko na północ, a dwa, że nawet jeśli, raczej wątpię, iż zaatakują właśnie w tak otwartym miejscu. Gdy zaś tam dotrzemy, wybiorę sobie towarzyszy i jak ruszymy jutro z rana, wysforuję się do przodu i wyśledzę wrogów. Do czasu mego powrotu dowództwo nad moją chorągwią obejmie Braeburn. Jako mieszkaniec pogranicza ma pewnie większe doświadczenie wojenne ode mnie.

– Niech tak będzie – odparł Wyrmlance, acz bez zadowolenia w głosie.

Czuła ich.

Musieli być blisko. Dziękowała Celestii za południowy wiatr, dzięki któremu smród tych bestii docierał do jej nosa, czułego niemal tak, jak nos Winony, podczas gdy ona sama była dla nich niewykrywalna. W sumie był to niemal jedyny sposób, w jaki mogła ich wytropić. Jako że szli z przeciwnych stron, nie mogła wyszukać ich śladów. Z drugiej jednak strony naprawdę знаła ten las i domyślała się, gdzie należy się ich spodziewać.

Wszystko zaś wskazywało na to, że nie pomyliła się. W miarę zbliżania się do małego jeziora, jedyne w okolicy źródła pitnej wody, ten nieznośny, nawet dla Applejack, która nie uważała się za delikatną, zapach stawał się coraz bardziej nieznośny, czyli po prostu silniejszy. W końcu dojrzała gdzieś na horyzoncie, czyli zapewne góra kilkadziesiąt kroków od niej, prześwit. Tak, to tam musiało być owo źródło, a przy nim ich cele. Wolała jednak się upewnić:

– Wszyscy, bezszelestnie jakieś dziesięć kroków za mną. Arkebuzy pod kopytem! – wyszeptała i jęła się skradać w stronę światła. Nie czuła lęku, a właściwie nie przed wrogiem, lecz raczej przed niepowodzeniem. Toteż serce biło jej szybciej niżby chciała, a krótki dystans i chwila potrzebna na przebycie nań wydłużały się niemiłosiernie. W końcu jednak osiągnęła cel.

Miała rację. Istotnie, wokół małego jeziora rozłożony był wilczy oddział. Kilkadziesiąt sztuk. Porachowała je szybką metodą, jakby liczyła bydło. Mniej niż pięćdziesiąt. Cofnęła się do swoich podkomendnych i rzekła do jednego z nich:

– Caramel! Weź swoją drużynę i w te pędy leć do hrabiego. Powiedz mu, że wytropiłam forpocztę wilków. Będę... – zatrzymała się na chwilę, jakby coś ważąc, po bardzo krótkiej chwili dokończyła jednak – będę tu na niego czekać. Leć już! – to rzekłszy, uśmiechnęła się, acz nie było znać w tym uśmiechu wesołości ani ogólnie żadnych innych przyjemnych uczuć. Gdy zaś wysłannik zniknął, rzekła do reszty:

– Naszych wrogów jest tylko czterdziestu i nie spodziewają się nas. Czas, by Pierwszy Pułk Wsparcia z Ponyville potwierdził swoją wartość! Za mną! – rzekła, po czym w całkowitym skupieniu i niemal absolutnej ciszy podeszli znów na skraj polany. – Gotuj broń! – wyszeptała. Gdy znów ujrzała obozujących wrogów, serce niemal podeszło jej do gardła. Tym razem nie z jakiegokolwiek obawy jednak, lecz z... podniecenia? Tak, niemal cieszyła się na myśl o tym, co się za chwilę stanie. Ta refleksja wpięrowała ją zaskoczyła, zaraz jednak i przeraziła. Podobają jej się to, że za chwilę kogoś zabije?

Tymczasem jednak musiała przerwać te rozważania, gdyż oto wilcy poczęli gotować się do dalszego marszu. Zepchnęła tedy w głąb głowy wszelkie rozterki i podniosła do góry kopyto, na które nałożyła szablę dziadka, dając znak „cel!”. Już miała je opuścić, gdy niespodziewanie jednak wątpliwości wróciły. Czyżby nagle przestraszyła się jednak powagi śmierci? Przez chwilę mocowała się ze sobą, nie będąc w stanie ani wydać rozkazu „pal!”, ani „odwrót”. Był to moment, ale dla niej i dla jej podwładnych, w równym albo może jeszcze większym zdziwieniu obserwujących ją, miał w sobie coś z wieczności.

W końcu przyszło jednak wybawienie. Jak to zawsze bywa w takich sytuacjach – ktoś nadepnął na gałąź. Albo może zbyt głośno odciągnął kurek od zamka? Albo wzniesiona do góry szabla, mając dość tej niepewności, odbiła w niewłaściwą stronę promień południowego słońca? Dość, że jeden z wilków, z któregoś z powyższych powodów albo równie dobrze może wcale bez powodu, w każdym razie odwrócił swoją głowę i spotkał się swym wzrokiem z Applejack. Ta w jednym momencie zrozumiała skąd wzięła się jej ostatnia wątpliwość. Chodziło o formę. Jakoś podświadomie nie była w stanie znieść tego, że swoją pierwszą krew zdobędzie, strzelając niczego się niespodziewającym istotom w plecy. W tym samym jednak momencie ta wątpliwość się zdezaktualizowała, toteż natychmiast opuściła szablę.

Niestety, było to już za późno. Wilk zdążył bowiem warknąć i nim padły strzały, przynajmniej część jego kompanów zdążyła się poderwać, rozproszyć i rzucić na ziemię. Dało się wprawdzie też słyszeć jęki trafionych, ale mniej, niż przewidywał plan. Kucyki zostały oddzielone od swych wrogów zasłoną dymu.

Nie było czasu na przeładowanie. Applejack nie uwzględniła takiej potrzeby w swym pierwotnym planie. Toteż nie pozostało jej nic innego, jak powiedzenie, teraz już z pełną głośnieścią i mocą:

– Szable w kopyto! Mamy przewagę, odeprzemy ich! – a niemal zaraz po tym, jak skończyła mówić, z rzedającego dymu wyłonił się pierwszy z wilków, który mierzył w nią samymi kłami i pazurami. Toteż wbiła mu w ten paskudny, otwarty pysk swoje ostrze. Tymczasem i z boków podobne sytuacje miały miejsce. Wprawdzie nie wszystkie kucyki zachowały zimną krew w chwili próby, lecz jako że większość wrogów, rzuciwszy się natychmiast po salwie na nich, nie zdążyła chwycić swych, skądinąd marnych, broni, to rany przez nich zadawane nie od razu były śmiertelne, toteż zmuszeni do walki ponyvillczycy odnaleźli w sobie męstwo, o którego posiadanie pewnie nawet się nie posądжали. Wszakże jednak praca na roli to też swego rodzaju walka.

– Trzymać pozycję! Naprzód, zepchniemy ich! – rozkazała tymczasem Applejack, i istotnie ostatni z atakujących zostali skutecznie wysieczeni. Na polanie zostało jeszcze jednak kilka wilków, które z jakiegoś powodu nie zaatakowały z innymi. Toteż dowódczyni rzekła – Naprzód! Nie mają szans! – i z nią na czele kucyki ruszyły przed siebie.

Wrogowie jednak, zbiwszy się w kupę, stali dziwnie nieporuszeni, mimo ewidentnej dysproporcji sił. Powarkiwali tylko cicho, lecz nie przejawiali żadnej chęci porzucenia swojej pozycji.

“Dlaczego nie uciekają?” – pomyślała nawet Applejack i w jej umyśle znów pojawił się niepokój. Istotnie, gdy była już o raptem kilkanaście kroków od swych adversarzy, na drugim końcu polany coś jakby się poruszyło i... wyskoczył stamtąd wilk. Potem drugi. Trzeci. Cała ich masa. Gdy tylko to zobaczyła, natychmiast zwolniła i błyskawicznie zawróciła przez lewe ramię, krzycząc do swoich:

– Odwrót! Przeładowywać w biegu! – po czym sama chwyciła w zęby swój arkebuz i odpowiednio go umocowawszy na przewieszonym przez bok temblaku, jęła przeładowywać jednym kopytem, co chwilę się odwracając. Po chwili jednak dostrzegła, że jej podkomendni, mimo iż przez chwilę się szamotali z bronią, bardzo szybko odpuścili i dawszy się opanować przerażeniu, uciekali bezładnie przed siebie. Toteż znów zawróciła i zwróciła się do najbliższego kucyka, ogiera podobnego nieco do jej brata:

– Chance-A-Lot! Przejmujesz dowodzenie! Zabierz wszystkich do hrabiego! Ja ich powstrzymam, by dać Wam czas!

– Yyyy, tak! – ów odpowiedział nieco zdezorientowany, ale poprawił nieco swój kierunek biegu na bardziej północny. Tymczasem Applejack, mogąc choć na chwilę stanąć spokojnie, dokończyła ładowanie i dwa razy strzeliła do najbliższych napastników, za każdym razem trafiając. Gdy jednak jej podwładni zniknęli za jej zadem, zaś wrogowie byli nieprzyjemnie blisko z drugiej strony, znów zawróciła i rzuciła się do ucieczki, acz w innym, bardziej zachodnim kierunku niż reszta. Biegąc zaś, przeładowała znowu i odwróciła głowę, by wycelować w niemal ją dopadającego wroga, gdy nagle poleciała w dół przed siebie. Wpadła w jakiś jar, o którym nie pamiętała, zaś patrząc za siebie, nie dostrzegła go w porę. Uderzyła ciężko o ziemię, zaś arkebuz wyleciał jej z kopyt. Na górze zaś pojawili się dwaj goniący. Zatrzymawszy się na chwilę, spojrzeli w dół na nią i wyszczerzyli kły, obleśnię się przy tym oblizując. Nie miała jednak zamiaru być ich zwierzyną, a jeśli już, to niełatwą. Trzymając swą szablę w jednym kopycie, spróbowała wstać pozostałymi trzema, gdy nagle poczuła, że ziemia dudni, jakby ktoś walił w nią kowalskim młotem. Jej oprawcy najwyraźniej również to zauważyli, podnieśli bowiem wzrok do góry i wyraz ich twarzy zmienił się natychmiast. Ona tedy też odwróciła swoją głowę, a jej oczom ukazał się wielki niedźwiedź brunatny, galopujący przed siebie w niespodziewanym tempie. Na taki widok nawet i osoba tak uparta jak ona straciła rezon i, zdawszy sobie sprawę, że nic już nie zdąży zrobić, przywarła nisko do ziemi. Niedźwiedź jednak przeskoczył nad nią, po czym, niemal dosłownie, rozerwał oba wilki na strzępy i popędził dalej. Jak się okazało, nie był sam. Wraz z nim biegł jeden łoś, kilkanaście jeleni i trudna do określenia liczba dzików oraz coś... żółtego? Applejack nie była pewna, czy jej się coś nie przewidziało, nie zdążyła tego jednak zweryfikować. Wszystkie bowiem stwory, niezaczepiwszy jej, pobiegły przed siebie i zniknęły za ścianą jaru. Po chwili dało się z tamtej strony słyszeć jęki i wycia, zapewne wilcze.

Po jakimś czasie, gdy odgłosy te przestały do niej dochodzić, Applejack, podniósłszy swój arkebuz, postanowiła ruszyć z powrotem w tamtą stronę. Nic jednak nie napotkała na swej drodze, prócz ciał wilków. Była już całkiem blisko polanki ze źródłem, gdy usłyszała głos dochodzący od północy:

– Applejack! – w którym rozpoznała Braeburna. Dostrzegłszy go między drzewami,

popędziła w jego stronę i dopadłszy doń, rzekła:

– Co tak głośno?! Wrogowie mogą nas usłyszeć!

– Nie sadzę! – rzekł Wyrmlance, wyłaniając się z pomiędzy drzew, a za nim jego oddział. Ich zielone kropierze okazały się być całkiem niezłym strojem maskującym. Tymczasem hrabia, pozwoliwszy sobie na tę uwagę, spojrział na kłacz wzrokiem, który zdawał się mówić “A nie mówiłem!” względnie “Żadna wiedza teoretyczna czy szczególne umiejętności nie zastąpią doświadczenia.”, na głos rzekł jednak tylko uprzejmie: – Cieszę się niezmiernie, że nic się Pani nie stało.

– Ja też się cieszę, nie czas teraz jednak puste słowa. Wróg może być nadal w pobliżu! – odparła Applejack hardo, po czym opowiedziała w skrócie co się jej przytrafiło. Wyrmlance zaś streścił, jak dotarł doń Caramel i jak usłyszawszy potem odgłosy walki, zwiększył nieco tempo marszu i wyszedłszy naprzeciw wrogom goniącym oddział kłaczy, rozbił ich. Powiedziawszy to sobie, oboje zgodzili się na razie się nie rozdzielać, przynajmniej przez jakiś czas, i wspólnie udać się w stronę wodopoju, zobaczyć, co stało się z resztą armii wilków. Gdy dotarli jednak na miejsce, ich oczom ukazał się niespodziewany widok. Oto na polance stacjonowała armia... wilków, jakże jednak inna niż ta, z którą przyszło walczyć im przed kilkoma chwilami. Wszyscy żołnierze stali bowiem prosto, na dwóch nogach, w idealnym szyku, jednolicie umundurowani i trzymali w rękach długie, starannie wykonane piki. Applejack, wpierw kompetnie zaskoczona tym widokiem, wzniosła szablę, mówiąc:

– Cel!

Natychmiast jej w słowo wszedł jednak Wyrmlance, stwierdzając:

– Zdaje się, że to nasi sojusznicy.

Istotnie, przyjrawszy się im bliżej, Applejack stwierdziła, że rzekome wilki tak naprawdę są...
psami!

Jak się zresztą okazało, na polance i w jej okolicy znajdowały się również i wilki, acz związane, w charakterze jeńców. Jeńców żołnierzy z Canisburga, jak wnikliwy czytelnik już się zapewne domyślił, których było łącznie tysiąc owczarków-landsknechtów, to znaczy najemnych pikinierów, sławnej i groźnej formacji, która choć nigdy oficjalnie nie walczyła przeciwko Equestrii, to w jednej z wojen na południu w ramach jednego z kontraktów powstrzymała niemal bez strat szarżę najemnej jednorożnej chorągwi rycerskiej. Pułkowi temu towarzyszyła kompania stu charcich zwiadowców. W każdym razie maszerując ze wschodu i dzięki dobremu rozpoznaniu orientując się w ruchach wroga, dotarli do źródła mniej więcej w tym samym czasie, w którym oddział Applejack przeprowadzał odwrót i uderzyli na wilcze tyły, co zwłaszcza w obliczu pozostałych ataków: rycerzy Wyrmlance’a i leśnych stworów z dwóch innych stron przyniosło druzgocący efekt. Uciekający najeźdźcy dosłownie wpadli na ścianę pik, toteż w drugiej fali większość z nich po prostu oddało się w niewolę swoich pobratymców, zapewne uznając ją za bardziej znośną, a może mniej haniebną niż niewola u kucyków. Na pytanie jednak Applejack o niedźwiedzia i resztę stworzeń, dowódca psów, pułkownik Huetehund odparł, że nie widział niczego takiego. Podobnie nie miał również żadnych informacji o przywódcy najeźdźców.

– Według moich informacji powinien być to wysoki, szary wilk ze stalową koroną na

głowie – zwrócił się doń Wyrmlance.

– Niekogo takjego nje snalesliechmy. Mussja! uzjez na połudnje. Podwładnie Grauhunda pschetchessujom lass w poschukiwanju jego.

– Cóż, rozumiem. Hmm, dzisiaj chyba już i tak go nie znajdziemy – rzekł hrabia, jako że w międzyczasie zdążyło zrobić się w miarę późno. – Proponuję zostać tu na noc i rano ruszyć na południe. Cóż o tym Pani sądzi? – zwrócił się do Applejack.

– Niech tak będzie – odparła klacz. Myślała wprawdzie o wysłaniu jeszcze własnego podjazdu, żeby nie być na łasce psów, którym mimo wszystko niezbyt ufała, lecz uznała, że po przejściach tego dnia byłoby to zabójcze dla morale jej podwładnych, toteż nie zaprotestowała. Wyznaczono tedy warty i połączone trottinghamsko-ponyvillsko-canisburskie siły rozłożyły się na nocleg.

Hrabia Wyrmlance nie mógł jednak zasnąć. Spokoju mu nie dawały myśli o... Applejack. Dziwiło go to niepomrotnie, bowiem żadna poznana dotąd klacz, jak szlachetnego rodzaju by nie była, nie zaprzętała jego głowy tak bardzo, jak ta wieśniaczka. Z drugiej jednak strony to, co akurat tak go męczyło, to jej bynajmniej nieklacze zachowanie. Myślał raczej o niej jak o żołnierzu, acz... Może właśnie dlatego, że była żołnierzem, była tak interesująca jako klacz? Odpędził jednak od siebie natychmiast te myśli krótkim hasłem "różnica stanu" i wrócił do esencji problemu, to jest jej dzisiejszych działań bojowych jako, bądź co bądź, pułkownika. Owszem, zachowała się lekkomyślnie i dały się odczuć braki doświadczenia, ale gdzieś przecież musiała je nabrać! Ponadto, była gotowa osobiście ponieść konsekwencje swoich złych wyborów. Wyróżniała się również niespotykaną odwagą, jak na kogoś o takim pochodzeniu społecznym.

– Ciekawe... – hrabia mruknął do siebie, po czym zasnął. Nie był to jednak błogi sen. W jego trakcie bowiem w głowie Wyrmlance'a rozgorzała walka między dwoma sprzecznymi ideami: "nierówności stanu" i "arystokracji naturalnej". W końcu jednak któraś z nich musiała wygrać, gdyż nad ranem adiutant budzący swego dowódcę znalazł go spokojnym i uśmiechniętym.

Podobnie jednak Applejack długo biła się z myślami, nim zasnęła. Nie mogła sobie tego darować, że ten elegancikowaty arystokrata okazał się mieć rację i to w jakiej materii! Że lepiej od niej poradził sobie w jej lesie! Chciała być na niego zła, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła, tym bardziej złoścąc się na siebie. Przypomniła sobie jednak słowa, jakimi ją przywitał, gdy przyszedł z odsieczą. "Cieszę się niezmiernie, że nic się Pani nie stało." Czemu tak powiedział?

"Zapewne przez czystą kurtuazję!" – pomyślała. – "A może jednak nie?" – to pytanie zrodziło się w jej myśli i poczęło ją niezmiernie męczyć, dopóki, wyczerpana mentalnie, nie pogrążyła się w sen.

Tymczasem jednak niektórym owa noc mijała zgoła inaczej. Pułkownik Huetehund, rozstawszy się bowiem z kuczym dowództwem, udał się w stronę swego oddziału, a konkretnie tam, gdzie leżeli związani jeńcy i, upewniwszy się, że żaden nieparzystokopytny go nie śledzi, podszedł do jednego, leżącego nieco z boku, większego wilka.

– Sdaje chae, sche mjelichmy chae rosnoewitz? – rzekł, uśmiechając się, rozmówca jednak nie podzielał najwyraźniej jego nastroju, gdyż warknął:

– Sdrajtz! rassy!

Huetehund natychmiast jednak przyłożył palec do ust i rzekł.

– Tzo tak glossno? Chtzetzje, by uslieschaly wass kutzyki? Wolietzje buetz u niech w njewolie? – spytał retorycznie, po czym dodał na poważnie. – To nje ja jesstem sdrajtzm, tylko Tue gluptzem. Ale nawet taki glupie wielk mosche bytz pschiedatniem naschaendsjem w raekach mondrego pssa! Matzje jednak nie proebowatz schadnych schtutchek, srosumjano? Wkroetze zabjeschemy Wass do Canisburga i tam dowjezje sje reschty. Nje mussietzje sje jednak o nietz martwietz.

– Tschego ode mnje chzezje?! – Więzień najwyraźniej jednak miał zamiar się martwić. Pułkownik, po krótkim namyśle, rzekł:

– Nje bende sje s Wami dsjelil naschymi planami, wjedstzje jednak, sche wschuestko tzo robie nasch kchjonsche, robie dla dobra naschego gatunku! To powienno Wam wasstartchuetz! To chieba ssprawa godna tak drobnuech niedogodnostzji? – spytał, uśmiechając się, więzień zaś, zagryzłszy zęby, wycedził przez nie:

– Dla dobra gatunku!

– Sdaje sje, sche lass Immerfrei nje jesst dobriem mjestzem dla Waschiech scholnjeschy, to jest, pardon, riezeschy? – Huetehund zwrócił się do Wyrmalance’a, podczas gdy szli na czele swych wojsk, maszerując na południe.

– Nie, czemuż tak sądzicie? – spytał hrabia, wywołując zrazu pewną konsternację Applejack, która jednak po chwili zrozumiała, że nie mógł inaczej odpowiedzieć.

– Bowjem gloewnuem atutem Waschiech riezeschy jest siela scharschy, sach tu, na samknjaetej pschesstschenie nje matzje jak go uschietz. To ratschej dobrze teren dla scholnjeschy takiech jak moi, waltchontziech w swartzju – Huetehund powtórzył to, z czego hrabia sobie świetnie zdawał sprawę, lecz ów odparł jednak:

– Moi towarzysze są również świetnymi szermierzami, nie są bezbronni, gdy nie mogą używać swoich kopii. Natomiast Wasze długie piki raczej też nie są zbyt praktyczne w tym gąszczu – zauważył rzeczowo, myśl psa wędrowała jednak gdzieś dalej, powiedział bowiem:

– Sontze, sche puschtcha to jednak nje mjestze odpowjednje dla kutzykoew. Dsiekje, njepschiejasne, a pschie tuem njemal beswartostzjowe. Tchie warte riesiekowania schytzja Was i Waschiech schlachetniech podwladniech?

– Do czegoż pijecie, Mości Pułkowniku? – spytał hrabia. Nie podobały mu się dygresje jego rozmówcy.

– Muechlae, sche moej Pan moeglbie Wam pomoetz, bjourontz jom, to znatchie puschtchie pod swojom opiekae i strasch. Wprawdtzje mue, psue, utziwieliesowalichmue sje, ale puschtcha jesst nam tzjongle bliesska, saroewno w sertzu, jak i geografietchnje.

– Mamy Wam oddać władzę nad puszcą? – spytał hrabia, lecz nim uzyskał odpowiedź, z gąszczu przed nimi wyłonił się chart zwiadowca i rzekł:

– Mostzie pułkowniku! Na połudnjowie zachloed stond napotkaliechmy duschom watahae wilkoew utzjekajontziech w poplochu. Nje wjemie, tzo ich wiestraschiello, letsch kapietan Grauhund ssugeruje, by sastawietz na niech zasatzke.

– Dschjenkuje scholnieschu! – odparł pułkownik. – Tak tesch srobiemue.

– Wilki uciekające w popłochu dużą grupą? Cóż musiały spotkać? Smoka? – rzekł hrabia, a na myśl o znienawidzonych gadach tylko zacisnął zęby. Nie była to zresztą też myśl

całkiem od rzeczy, bowiem stąd, gdzie się znajdowali całkiem już niedaleko było do smoczych pustkowi, gdzie skądinąd właśnie się odbywał królewski wiec. Applejack natomiast, usłyszawszy jego pytanie, stwierdziła:

– Zobaczmy! – i, ku zadziwieniu hrabiego, wyciągnęła swój arkan, zarzuciła go wysoko na najwyższe stojące obok drzewo i trzymając linę w zębach, wspięła się nań z nieprawdopodobną łatwością. Przez pewien czas zniknęła w koronie, po czym jednak pojawiła się znów, błyskawicznie zsunąwszy się po linie.

– Ktoś podpalił las! – powiedziała.

– Co? – ze zdziwieniem spytał hrabia.

– Tzo? – z przerażeniem spytał pułkownik.

– Tnillchie sibchies, nie jtsechie jiba spalich tego lasu? – szary kucyk ziemny ubrany w morion i kirys zwracał się do swoich podwładnych, ścinających drzewa i kopiących głębokie rowy. Daleko przed nimi, w jakby wydrążonym przez ich tunele i przecinki tunelu, powoli acz nieubłaganie zbliżała się ściana ognia. Tymczasem z drugiej strony nadleciał pegaz i wylądował obok dowódcy.

– Mości Hrabio!

– Si? To snachi, tac?

– Zbliża się w naszą stronę oddział sprzymierzonych, chyba z Trottingham!

– Wibornie! Pshiwitami ij tedi!

Istotnie po jakimś czasie z lasu wyłonili się hrabia Wyrmlance, Applejack i pułkownik Huetehund, a za nimi ich wojska.

– Witam Was, Moschi Jrabio! – rzekł kucyk w morionie, Wyrmlance zaś odparł:

– Witam, Mości Tercio! – po czym zwrócił się do Applejack. – Mościa Panno, to hrabia Tercio de Andalucia, suzeren Andaluzji i ziem południowych, Pan na Equino – po czym zwrócił się do przedstawionego. – Mości Hrabio, Panna Applejack Apple, wicehrabina Ponyville.

“Raczej plenipotentka” – pomyślała wspomniana, lecz nic nie rzekła, podała tylko kopyto hrabiemu, lecz miast pozwolić je ucałować, przybiła je z nim po męsku, ku jego pewnemu zdziwieniu. Tymczasem Wyrmlance ją przedstawiać kolejną osobę.

– Pułkownik Huetehund z Canisburga – ów jednak, miast dać się grzecznie przywitać, podeszedł do Tercia i żywo powiedział:

– Tzo Wy robietzje, Mostzi Hrabjo! Nje wjetzje, jak kontchie sje podpalanje lassu?!

Ów jednak odparł spokojnie:

– Alezh Moschi Pulcownicu, nie machie sie chego obaviach. Mi, mieskańchi południa stuke wipalania ogranihonij obsharuw mami opanowana do perfeccyi! – rzekł, wskazując na przesieki i rowy. Istotnie, na spalonych słońcem stepach Andaluzji umiejętne wypalanie traw było to prawdziwą sztuką, bowiem zagrożenie pożarem było ogromne.

– Hmm, przyznaję, jestem pod wrażeniem. Takiej taktyki jeszcze nie widziałem. Zdaje się zresztą, że przyniosła ona skutek. Wraz z naszymi sojusznikami schwytaliśmy bowiem spory oddział uciekających w popłochu wilków. Jako że wcześniej zaś rozbiliśmy inną watahę, to mam wrażenie, że właśnie zażegnaliśmy groźbę inwazji – rzekł Wyrmlance, Huetehund zauważył jednak:

– Tcheba by sje upewnitz. Rosechlae chartue.

Tercio dodał zaś:

– A ya pegasi, cturij companie z Las Pegasus mam se sobom. Potem zas drogom powietsnom poniosom scheslive vieschi do stolici, jesti takye bendom.

“I będziemy mogli wreszcie wrócić na północ” – pomyślał Wyrmlance, na głos jednak rzekł tylko:

– Niech tak będzie.

Tymczasem temu niecodziennemu spotkaniu w środku lasu przypatrywał się ktoś jeszcze, ukryty wysoko w koronie drzew, tak że nawet pegazi zwiadowcy nie mogli go dostrzec.

“Ach, muszę im to powiedzieć!” – myślał, patrząc na Applejack, Wyrmlance’a i tego drugiego hrabiego, który wprawdzie robił straszne rzeczy jego lasowi, ale zdawał się być po ich stronie. – “Znajdź w sobie siłę, bądź odważna” – mówił, a właściwie mówiła sama do siebie, by natychmiast jednak bezgłośnie odpowiedzieć – “Przecież nie mogę do nich zlecieć podczas gdy On jest z nimi! Muszę... poczekać, tak, poczekać, aż będą sami. Znaleźć odpowiednią chwilę. Wtedy na pewno się odważę.” – wmawiała sobie. Jak się jednak okazało, taka chwila nie nadeszła już dopóki kucyki, o których myślała nie opuściły jej lasu.

(na północ od Baltimore)

– I jak się to Ci podoba, Bracie generale?

– Doskonale, Gravedigger. Spisałeś się na medal. Każę dać Tobie i Twoim towarzyszom po dodatkowej racji wina – powiedział Sellsword, wychodząc ze sporej wielkości wykopanej w ziemi jamy, po czym dodał: – Ale po bitwie. Jutro wszakże wielki dzień!

Tymczasem podszedł do niego jeden z jego żołnierzy, mówiąc:

– Bracie generale! Przyszło wsparcie z Manehattanu. Pięć tysięcy milicji proletariackiej oraz nowe rozkazy! – rzekł, wyjmując list z juków.

– Pokaż! – powiedział Sellsword, po czym wziął list i zabrał do swojego namiotu. Tam go otworzył, przeczytał, po czym wezwał swego zastępcę.

– Jestem, bracie! – powiedział Cleaver Tanner, sporych rozmiarów beżowy kuc ziemski, wystrzyżony na łyso i z wielkim tasakiem jako niezbyt uroczym znaczkiem, prywatnie syn garbarza. – Co jest grane?

– Wzywają mnie do Manehattanu. Natychmiast.

– Co? – Zastępcę nie krył zdziwienia.

– Właśnie nie wiem co. Gdyby to był rozkaz tylko tego burżuja Golden Meana, to bym się nawet nie przejął, ale podpisana jest tu cała rada ludowa – powiedział generał Whiting, mając na myśli świeżo ukonstytuowany najwyższy organ władzy w Manehattanie, składający się z reprezentantów wszystkich klas społecznych.

– Ale przecież jutro... – zaczął Cleaver, lecz Sellsword mu natychmiast przerwał:

– Tak, wiem. wiem. Ale muszę odpowiedzieć na to wezwanie, przecież na tym polega cywilna kontrola armii... Nie wiem, czego oni chcą ani jak długo mnie będą trzymać u siebie, toteż nie przełożymy ataku. Postaram się wrócić jak najszybciej, ale jak się nie uda, Ty ich poprowadzisz. Liczę, że mnie nie zawiedziesz?

– No co Ty, Bracie?! Pewnie że nie!

– Dobrze. Plan jest tedy taki: od rana każesz wstrzymać ogień. Rozproszy to naszych

wrogów, Ty zaś weźmiesz tysiąc najlepszych kucyków i pójdziesz wiadomą drogą. Jak tylko usłyszysz huk, nasze armaty zagrają. Resztę zaś wsadź na statki. Niech dokonują desantu tuż pod murami. Przodem pošlij jednak te, no... Sovereign i Soleil, żeby ostrzeliwały twierdzę oraz miały się na baczności, gdyby wroga flota niemądrze postanowiła nagle wrócić. Powinny dać radę. Swoją drogą, trzeba by im zmienić te reakcyjne nazwy. Choć z drugiej strony może nie, niech świadczą o upokorzeniu, jakiego doznała z naszej strony królewska armada – rzekł, uśmiechając się, po czym dodał: – Jakies pytania?

– Nie, Bracie Dowódco! – odparł Cleaver i udał się do wyjścia, gdy Sellsword zatrzymał go jednak:

– A, jeszcze jedno! Z tymi rozkazami przysłali nam kolejne pięć tysięcy proletariuszy. Nie wiem, po co nam to barachło, ale mają nie robić bałaganu w obozie w dzień szturm. Niech Twój brat... biologiczny brat – doprecyzował – weźmie ich na zachód, w celu przecięcia komunikacji między Canterlotem a Fillydelfią. Nie uda im się, trudno, uda, tylko lepiej. Może wziąć ze sobą pięciuset naszych, jakby były jakieś problemy, niech strzelą tamtym w plecy.

– Oczywiście! – odparł Cleaver, uśmiechając się złowieszczo.

(na zachód od Baltimore)

Transportowanie wojska przez las nigdy nie było łatwe, szczęśliwie puszcza baltimareska nie była tak gęsta jak Everfree, ponadto zaś kroczący z przodu Shining Armor trzymaną przed sobą barierą robił jako takie przejście. Mimo iż było to dość wyczerpujące, to nie znać po nim było zmęczenia. Ba, można rzecz, że odżył, był w swoim żywiole! Za nim szły wojska w znośnym tempie w wytyczonym przezeń kierunku. Opracowany przez niego i Longtrencha plan był dość prosty. Podejść jak najbliżej wrażliwych szańców lasem, tak, by nie zostać zauważonym, do najbardziej zbliżonego do pozycji wroga skraju, tam za pomocą lekkiej artylerii i świeżo wymyślonych przez siostrzeńca Fancypantsa pocisków karkasowych, to znaczy zapalających, zbombardować pozycje Whitinga i wykorzystawszy zamieszanie, rozłożyć prawdziwą artylerię i zniwelować przewagę zasięgu manehattańskich dział, przystąpić do regularnej bitwy. Póki co wszystko zdawało się iść po ich myśli. Tymczasem jednak tuż przed nim wylądował pegaz w mundurze zwiadowcy gwardii królewskiej.

– Mości Książę! – rzekł.

– Meldujcie, poruczniku! – odparł Shining.

– Spora grupa około pięciu tysięcy Manehattańczyków maszeruje na zachód, zdaje się, że w stronę linii kolejowych, nieco na północ od puszczy. Nie są zbyt dobrze uzbrojeni, ale zdają się mieć dobre morale.

Shining Armor zamyślił się. Z jednej strony nadarzała się świetna okazja, by wyjść w pole i pokazać pełnię możliwości królewskiej armii w najbardziej sprzyjającym dlań terenie, co niewątpliwie wzmocniłoby też morale. Z drugiej strony spowolniłoby to tylko marsz albo mogło wręcz odkryć ich pozycje i udaremnić cały plan. Z trzeciej jednak strony pozostawienie za sobą tak licznych, nawet jeśli niezbyt profesjonalnych sił wroga mogło skończyć się tragicznie. Nim podjął jednak decyzję, hetman spytał swojego towarzysza:

– Mości Longtrench, macie ochotę na wyjście z lasu?

Ów zaś po krótkim namyśle odparł:

– Z chęcią sprawdzę zdolności bojowe moich kirasjerów – rzekł, mając na myśli dwie

świeżo przezeń zreorganizowane kompanie.

– Niech tedy tak będzie! – rzekł Shining Armor i zmienił kierunek marszu na północny.